

[WSPOMNIENIE]



© RAFAL GUZ/FORUM, PIOTR FOTEK/REPORTER

W płaszczu Konrada

Jednego dnia odeszli Ignacy Gogolewski (ur. w 1931 r.) i Jerzy Trela (ur. w 1942 r.), aktorzy osobni i wybitni. Ich kariery zaczęły się od roli Mickiewiczowskiego Gustawa-Konrada w ważnych inscenizacjach „Dziadów”.

Gogolewski swojego Gustawa-Konrada zagrał w warszawskim Teatrze Polskim w 1955 r. Wyreżyserowany przez Aleksandra Bardinię spektakl był pierwszym powojennym wystawieniem dramatu Mickiewicza. Dekadę młodszy Trela wystąpił w tej roli w wybitnym przedstawieniu Konrada Swinarskiego z 1973 r. w Starym Teatrze w Krakowie, też pierwszym, tyle że licząc od słynnych, zdjętych w 1968 r. przez cenzurę „Dziadów” Kazimierza Dejmka z Teatru Narodowego. Inny czas, reżyserzy, aktorzy i spektakle, ale ta sama waga wydarzeń i ról, które rozpoczęły bogate kariery młodych aktorów.

Gogolewski wydawał się urodzony do grania romantycznych herosów. Krytycy po debiucie okrzyknęli go uosobieniem romantycznego bohatera, chwalili jego talent dramatyczno-liryczny, wycucie słowa, melodyki i frazy wiersza, zauważając też słuszny wzrost i charyzmę. Potem nawet w jego najgłośniejszej roli telewizyjnej, Antka Boryny w serialowych „Chłopach” w reż. Jana Rybkowskiego, widzieli romantyzm i liryzm, a aktor z czasem zaczął walczyć z tym emploi.

Dla drobnego i wycofanego Treli propozycja głównej roli w „Dziadach” była zaskoczeniem. Z trudem myślał o wejściu w buty Gustawa Holoubka, który mocą swojego talentu doprowadzał widzów do ekstazy i podbijał rewolucyjne nastroje

w spektaklu Dejmka. Zgodził się dopiero, gdy Swinarski wytłumaczył mu swój zamysł – jego „Dziady” miały być opowieścią o zwykłym człowieku i jego zmaganiach wewnętrznych i zewnętrznych. Ten Gustaw-Konrad miał być – jak napisał z okazji 80. urodzin aktora w „Gazecie Wyborczej” Tadeusz Nyczek – „zwykłym młodym człowiekiem z marcowego pokolenia, które zdążyło już poczuć gorzki smak porażki i upokorzenia. Kimś, kto postanawia wykrzyczeć na głos to, o czym milczą inni, podobnie zniewoleni i upokorzeni”.

I był. Wielką Improwizację Trela wygłaszał w wielkim skupieniu, w białej koszuli, pośród żebraków jedzących jajka na twardo i głuchych na jego słowa. Tłem był rodzący się konsumpcjonizm epoki Gierka. „On ma w sobie czystość” – tłumaczył w wywiadach reżyser, a rok później powierzył Treli rolę Konrada w swoim równie gorzkim „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego.

Gogolewskiego i Trełę łączy też trudne dzieciństwo naznaczone brakiem ojca, pamięć biedy i wybory polityczne, które swego czasu wzbudzały kontrowersje. Obaj byli inteligentami z awansu społecznego i pamiętali, że zawdzięczają go PRL. Należeli do partii, Gogolewski w latach 80. był członkiem rady krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON), wystąpił w filmie partyjnego nacjonalisty Bohdana Poręby „Polonia Restituta”, a decyzja o poparciu stanu wojennego i nieprzyłączeniu się do aktorskiego bojkotu środków masowego przekazu na lata wyrzuciła go poza nawias środowiska. Po 89 r. przeszedł na rentę, dorabiał, objeżdżając uzdrowiska z książeczką z własnymi tekstami, zatytułowaną „Słowa miłości, słowa goryczy”. W 2005 r. został wybrany na prezesa ZASP, ale przy dużym sprzeciwie środowiska i był nim tylko przez rok. Trela w ostatniej dekadzie PRL rektorował w krakowskiej PWST (dziś AST) łączył z posłowaniem. Oba tłumaczył tak samo: chęcią bycia użytecznym dla środowiska. „Ideaą moją był testament Jaracza, teatr. Wszystko, co wokół, było podporządkowane tej idei” – mówił. I wtedy, i dziś trudno spotkać inne opinie o aktorze niż: prawy, rzetelny, koleżeński, lojalny.

Trela, przez niemal pół wieku wierny krakowskiemu Staremu Teatrowi, współtworzył go w jego złotej erze, gdy reżyserowali w nim najwybitniejsi, a on grał u wszystkich: u Swinarskiego, Jarockiego, u Grzegorzewskiego, u Wajdy, Kieślowskiego, u Kutza i u Lupy. Nagrodę im. Zelwerowicza otrzymał dwukrotnie, za genialną rolę Ojca w „Ślubie” Gombrowicza w reż. Jarockiego ze Starego Teatru (1991 r.) i prawie dekadę później za Samuela w „Sędziach” Wyspiańskiego, wystawionych przez Jerzego Grzegorzewskiego w Teatrze Narodowym. Wybitne kreacje tworzył także w Teatrze Telewizji (ponad 150 przedstawień). Tylko kino miało mu do zaoferowania wyłącznie role drugoplanowe, i za jedną z nich, ojca głównego bohatera w „Autoportrecie z kochanką” w reż. Radosława Piwowarskiego, otrzymał nagrodę na festiwalu w Gdyni.

Gogolewski dostał swoją drugą aktorską szansę w prezencie na 70. urodziny. Jego rola hrabiego Szarma, którego Jerzy Grzegorzewski polecił mu zagrać jako „wyleniałego lisa” umizgującego się do młodzianki Albertynki, była wydarzeniem (Nagroda im. Zelwerowicza za rok 2000), podobnie jak zagrany rok później Laurenty w „Na czworakach” Różewicza. Reżyser tego spektaklu Kazimierz Kutz komentował sukces aktora: „Wyciągnęliśmy tego krupnioka Gogolewskiego, odsmażyliśmy i teraz jest całkiem do zjedzenia”. A widzowie mogli go jeść ze smakiem jeszcze przez kolejne dwie dekady.

O aktorstwie pisał tak: „Aktor to tak niewiele/Potrąfi jednak odkryć cel drugiemu, sens istnienia/To chroni go od zapomnienia/Zostaje w sercach, we wspomnieniach współczesnych”. Trela pewnie dodałby frazę o pokorze.

ANETA KYZIOŁ